

Wywiad z profesorem Kazimierzem Antonowiczem przeprowadzony przez profesora Sławomira Kalembkę w Instytucie Fizyki 23 października 1989 r.

K.: Obecni w gabinecie prof. Kazimierza Antonowicza w trakcie rozmowy: prof. Kazimierz Antonowicz, prof. Lutosław Wolniewicz, prof. Sławomir Kalembka i mgr Janusz Szatkowski / jest godzina 10<sup>15</sup>/.

K.: Jest to drugi wywiad po dwunastu latach od poprzedniego udzielonego dla Komisji Historii Fizyki <sup>Polskiego</sup> Towarzystwa Fizycznego. Poprzedni wywiad dotyczył przeszłości prof. Antonowicza jako fizyka, dotyczył zarówno lat studenckich, wileńskich, jak i powojennych. Pan Profesor wówczas krótko mówił o dramatycznym okresie II wojny światowej. Może zaczęlibyśmy od tego: jest rok 1939, Pan Profesor jest studentem, a równocześnie asystentem w Katedrze Fizyki USB u prof. Szczepana Szczepnińskiego. Rozumiem, że Pan Profesor był również oficerem lub podchorążym rezerwy, czyli był Pan związany z Wojskiem Polskim. Czy mógłby Pan Profesor powiedzieć jak wyglądały te związki z armią?

A.: Bardzo zwyczajnie. Miałem odroczenie do 24 czy 25 roku życia. Takie było prawo. Następnie zostałem powołany do wojska, do Szkoły Podchorążych Artylerii w Zambrowie. Następnie skończyłem tę szkołę /bardzo chwalebnie zresztą - miałem szóstą lokatę na 400 absolwentów/. Była to artyleria polowa - haubice 155 mm. Po skończeniu szkoły zostałem skierowany do pułku, na praktykę w III PAC-u w Wilnie. Kiedy byłem w Wilnie zmarł mój szef, prof. Wacław Dziewulski w 1938 roku. Po skończeniu służby w pułku wróciłem na Uniwersytet. Zaczął się rok 1939. Wiosną zostałem jeszcze powołany na ćwiczenia i zostałem zwolniony w lipcu lub sierpniu nawet - tuż przed wybuchem wojny.

K.: Jaki miał Pan Profesor stopień wówczas?

A.: Plutonowy podchorąży.

K.: A był Pan Profesor może wówczas gdzieś tutaj w Toruniu albo w Grudziądzu?

A.: Nie, nie byłem. Ja na poligonach byłem, ale tam, na Wileuszczyźnie. No i wyjechałem do Nowoświęcian. Akurat ożeniłem się. Pływaliśmy z żoną na kajaku, kiedy pewnego dnia poszedłem kupić mleko dowiedziałem się od chłopów, że wojna wybuchła. Wróciliśmy do domu gdzie była już karta powołania. Następnego dnia rano pojechałem do Wilna. Pułk, w którym miałem służyć już był na froncie, a mnie przydzielono do OZN-u, czyli Oddziału Zbierającego Nadwyżki. Tam nas było kilku podchorążych, kilku oficerów. Były to koszary nad Wilią, na Kalwaryjskiej.

K.: Nazywała się do niedawna ulica Dzierżyńskiego, ale teraz znowu się nazywa Kalwaryjska.

A.: Myśmy tam pozostali jeszcze parę dni i zaczęliśmy wędrowkę. Załadowaliśmy sprzęt jaki mieliśmy i wyruszyliśmy transportami kolejowymi. Ja tradycyjnie miałem funkcję oficera łączności /jako fizyk/. Już poprzednio na poligonie opiekowałem się taczanką z radiostacją. Radiostację mieliśmy też.

K.: Czy to była dobra radiostacja na owe czasy?

A.: Jak na owe czasy jedyna możliwa. Dynamo kręcił taki fest chłopak. To był jedyny sposób łączności.

K.: Czy funkcja oficera łącznikowego miała jakiś związek z wywiadem wojskowym, czy kontrwywiadem?

A.: Nie, w artylerii jest bardzo ważna łączność między dowództwem a stanowiskiem działowym.

K.: Jaki sprzęt mieliście?

A.: Wtedy już żadnego. Myśmy jechali z myślą, że dostaniemy coś jeszcze.

K.: I gdzie jechaliście?

A.: Myśmy jechali na południe. Teraz nie potrafię wymienić tych stacyjek różnych. Ale dojechaliśmy tam gdzie stacjonował II PAC.

K.: To było gdzieś jeszcze w woj. nowogródzkim?

A.: Chyba tak.

K.: Ale okolice Brześcia jeszcze nie?

A.: Jeszcze nie. Przy Brześciu to byliśmy gdzieś po dziesięciu dniach. Na pewnej stacyjce, chyba nazywała się Krzyż, tam krzyżowały się linie kolejowe, Niemcy zbombardowali tory, pociąg dalej nie mógł jechać. Co mogliśmy wzięliśmy na plecy i ruszyliśmy pieszo. Szliśmy ciągle na południe i tak doszliśmy aż do Kowla.

K.: Tak, to już daleko na Wołyn.

A.: Przed Kowlem /prawdopodobnie parę kilometrów/ - był dzień 16 września - wieczorem przyszedł rozkaz, nie strzelać do wojsk rosyjskich.

K.: Bo były wypadki, jak Pan Profesor wie, że doszło do ostrych walk. W tamtych stronach w Sarnach działał pociąg pancerny "Bartosz Głowacki", który rozpędził kilka jednostek sowieckich.

A.: No, my mieliśmy karabiny, ale rozkaz był wyraźny. Ja się dowiadywałem ciągle - co, jak? Następnego dnia rano, ku mojemu zdziwieniu zostałem sam z około 50-cioma żołnierzami, a cała moja władza wraz z ciężarówką uciekła gdzieś. Prawdopodobnie udali się na południe ku granicy rumuńskiej. Nie bardzo wiedziałem co robić, ale sądziłem, że trzeba iść do miasta, do ludzi. Nawet nie mieliśmy czego jeść. Przede wszystkim sądziłem, że znajdą się jakieś jednostki wojskowe, które mają jedzenie.

K.: A ci szeregowcy, to byli Polacy, czy Białorusini?

A.: To byli Polacy, i co więcej to byli Polacy z Pomorza. To nie byli w ogóle tamtejsi. Taka była koncepcja mobilizacyjna, żeby tam na wschód dać ten pewniejszy element. Oni np. mówili po ~~niemiecku~~ niemiecku, ale po rosyjsku - nie. Zmierzaaliśmy do Kowla. I pierwsza rzecz - trafiłem do jakiegoś posterunku polskiego. Oni tam nas bardzo ~~xx~~ życzliwie przyjęli, sami zamierzali uciekać, palili dokumenty, ale lokal udostępnił, jedzenie dali.

K.: A Rosjanie atakowali Kowel?

A.: Nie, nie atakowali. 17-go z rana od razu zobaczyłem, że latają samoloty rosyjskie. Łatwo było je rozpoznać bo pomalenku leciały. W porównaniu z Messerschmidami niemieckimi /K.: Ale nawet z naszymi PZL-kami/, tak - to od razu było widać, że to inne wojsko. I w Kowlu spotkałem oficera polskiego, który szedł z rękami podniesionymi do góry, z tyłu za nim, z karabinem, szedł Rosjanin, oficer krzyczał: z rozkazu komendanta placu składać broń. Ja wtedy powiedziałem swoim żołnierzom, żeby złożyli broń i szli na własną rękę, ja nie mogę dalej dowodzić nimi. I całe towarzystwo rozeszło się po chatach, żeby znaleźć coś do zjedzenia. A mnie złapał jakiś patrol rosyjski i odprowadził na dworzec.

K.: Czy to wszystko działo się już 17-go września?

A.: 17-go i 18-go września - dwa dni. 18-go września tam było już dużo oficerów i podoficerów i w ogóle różnych żołnierzy. Placem zbornym był peron dworca w Kowlu. Tam zaczęliśmy rozmawiać z kolejarzami i ze wszystkimi, co robić i uchwaliliśmy, żeby uciekać, gdzie kto może. Ja uciekłem, jednak bardzo niefortunnie, bo trafiłem do jakiegoś domu do kobiet. One mnie karmiły bardzo chętnie, ale nie miały ubrania męskiego. Pokrzepiłem się u nich i wyszedłem. Zaraz jednak złapał mnie następny patrol sowiecki i odprowadził z powrotem na dworzec, gdzie trafiłem w zupełnie inne towarzystwo. Mianowicie wyższych oficerów polskich. Tam byli pułkownicy, kapitanowie, majorzy itd., poruczników i podporuczników nie było. I mnie do tej grupy przydzielili. Miało to jedną zaletę, ich traktowali lepiej niż innych. Dojechaliśmy stosunkowo szybko do Moskwy.  
/K.: Prosto do Moskwy Was zawiezli?/. Tak, prosto do Moskwy.

K.: Ale jakimi wagonami - bydlęcymi?

A.: Tak, bydlęcymi.

K.: A jakie warunki podróży były? Czy takie o jakich się sły-

szy, że bardzo ciężkie?

A.: Nie bardzo ciężkie. Właśnie jak z innymi rozmawiałem, to oni byli bardzo stłoczeni, a my nie, jechaliśmy dość swobodnie. W Moskwie na Łubiankę nas dostarczyli prawdopodobnie /nie jestem pewny/, ale chyba tak.

K.: Czyli miejsce dosyć sławne. Anders tam też <sup>- Y</sup>osiadywał jak go złapali rannego.

A.: Różniło się od innych tym, że było to bardzo ładne więzienie. Przede wszystkim było zabudowane w kwadrat. Wchodziło się bramą, na placu więziennym, po bokach, stały takie sklepiki "ławoczki".- Można tam było wszystko kupić. /K.: A pieniędzy jak nie było?/ Więc właśnie, ja ani grosza rosyjskiego nie miałem i nic nie kupiłem. Ale moi kumple mieli, więc i kiełbasę i coś innego mogli kupić. Te "ławoczki" były bardzo dobrze zaopatrzone. /K.: Pewnie lepiej z tym było więźniom niż Moskwiczanom, którzy wówczas ciężko mieli, jak zresztą zwykle za władzy radzieckiej/. Potem zaprowadzono nas do szatni, zdjęto całe ubranie nasze, a potem do "bani". "Bania" cudowna, taka prawdziwa. Była ona następująco zrobiona: duża bardzo sala i w niej ustawione ścianki kafelkowe i prysznice jednoosobowe /oddzielone niebieskimi kafelkami/.

K.: To niebywałe jak na więzienie sowieckie, to rzeczywiście luksusy.

A.: O to chodzi. Wszystko było pełne pary, trudno było widzieć daleko co się dzieje, taki tajemniczy świat.

K.: Ja wiem, bo jako dziecką to kilka razy byłem w Wilnie w takich łazniach tego typu, tylko mniejszych.

A.: Kobiety obsługiwały i to nas bardzo krępowało. Ale one przyzwyczajone były - widać to było. Każdemu przydzielono prysznic i mydło każdy dostał. Więc wymyliśmy się bardzo dobrze. Przeszliśmy na drugą stronę i tam już na nas czekało ubranie.

K.: A czy panowie nadal byliście w mundurach polskich?

A.: Tak, w ogóle ubrań więziennych nigdy nie mieliśmy.

K.: Jednak pewne cechy jeńca wojennego były zachowane, to że się było w mundurze.

A.: Tak, oni nazywali nas "wojennoplennyje". No i przeszliśmy na drugą stronę, tam było już nasze ubranie wydezynfekowane /pachniało jakimiś środkami/, ubraliśmy się i poszliśmy na piętro, gdzie nas pozamykali w celach. Następnego dnia wzięto mnie na przesłuchanie i jak wszedłem tam, do wojskowego, który mnie przesłuchiwał:

K.: Ale właśnie, jak się Panu wydaje czy to byli z NKWD czy z kontrwywiadu wojskowego? Nie wie Pan jakie dystynkcje oni mieli?

A.: Nie, nie wiem, wojskowe mundury, mieli na pewno.

K.: Tak, ale wojska wewnętrzne też miały wojskowe mundury.

A.: Nie, żadnych szczegółów nie wiem. Tam charakterystyczne było to, że jak tylko wszedłem do tego pokoju, to on od razu rozpoznał mnie i powiedział: "O z artylerii"!

K.: Czyli dobrze znał te wszystkie znaki wojska polskiego.

A.: Świetnie. Spytał z jakiej szkoły /z Zambrowa/ - w porządku. Pięć minut to trwało. Widac było, że on orientował się w tym doskonale, kim ja jestem. /K.: Rosjanie zawsze szpiegów mieli doskonałych/. Od razu zawołał "bojca" i ten mnie wyprowadził. Zaprowadził na dworzec i wepchnął do wagonu gdzie byli sami żołnierze, gdzie było ciasno jak cholera, że tam ledwo staliśmy.

K.: A przez Moskwę prowadził on Pana w mundurze polskim?

A.: Tak.

K.: I ci żołnierze też byli Polacy?

A.: Ci żołnierze w wagonie? Tak!

K.: To znaczy, że jednak część żołnierzy oni też przez Moskwę przewozili, a ja sądziłem, że transporty szły bardziej na zachodzie.

A.: Tak więc siłą mnie wepchnął do wagonu. Potem była makabrycz-

na jazda już dalej. Myśmy wiedzieli tylko, że pociąg skręcił na północ i jechaliśmy przez Wołgę - widać <sup>ja</sup> było jak przejeżdżaliśmy ~~przez~~ do Wołogdy. Do Wołogdy nie wjechaliśmy, widać było tylko łuny świateł nad Wołogdą, śnieg już leżał. W Moskwie błoto było jeszcze, a tam już był śnieg.

K.: A jaki Pan miał mundur drelichowy czy sukieny?

A.: Mundur miałem drelichowy i to <sup>y</sup> była tragedia. Zimno było jak cholera. I płaszcz ja nie miałem. Większość jednak miała płaszcz. A mój płaszcz został w wagonie. Tamten wrzesień był taki gorący. Ja byłem szczęśliwy na początku, że nie mam tego płaszczu, gdy szedłem pieszo i myślałem, że gdzieś <sup>y</sup> jakoś to się załatwi. Potem Rosjanie dali mi kufajkę i ciepło mi było. Wyładowali nas jeszcze przed Wołogdą i marsz do Griazowca. Griazowiecki "łagier" był chyba tam po raz pierwszy założony.

K.: Czy to też było w jakimś klasztorze? bo oni często w klasztorach robili łagry.

A.: Nie, Griazowiecki łagier był w jakimś dawnym sowchozie, czy czymś podobnym. Przed łagrem była wioska. Więc jak przechodziliśmy przez tę wioskę to tam wszyscy kołchoźnicy stali w kolejce po chleb co naszych bardzo zdziwiło, to przecież był jeszcze okres pokoju.

K.: Polacy przed wojną myśleli jeszcze nie kategoriami władzy radzieckiej i realiami socjalizmu.

A.: Tak, że po chleb trzeba było stać w kolejce. Więc przeszliśmy przez tę wioskę. Kobiety patrzyły ze współczuciem na nas. Był taki moment, kiedy oddzieliłem się ~~od kolumny~~ i mogłem popatrzeć na naszą kolumnę - te długie płaszcze, ładne mundury, buty porządne i te mobilizacyjne saperki. A tamci strażnicy rosyjscy w białych płaszczykach i obrzydliwych butach, rzeczywiście było widać Polska panów idzie. A to byli wyłącznie żołnierze i podoficerowie oficerów <sup>y</sup> wogóle nie było.

K.: A jak tam było?

A.: Zaraz powiem. Więc to był majątek. Na górze stał taki duży dwór drewniany. Poza tym ~~zabudowania gospodarskie~~ oficyny i zabudowania gospodarcze. Ja właśnie trafiłem do takiej oficyny, do takiego domku mieszkalnego. Tam był piec ruski. Na piecu nawet leżałem. A poza tym to były chlewy i stodoły. Był to duży majątek, więc było dużo zabudowań i tam całe to towarzystwo wepchali. Byliśmy tam jakieś trzy, cztery dni. Pewnego dnia wzięli mnie na przesłuchanie i po przesłuchaniu.../Myśmy pozdzierali sobie nasze dystynkcje - wszyscy to robili, żeby nie wyróżniać się, zwłaszcza w stosunku do swoich/, więc ja bez dystynkcji poszedłem do niego. On popatrzył na mnie i powiedział: "Ty oficer" - nie, ja powiadam, nie jestem oficerem, "pokaż ręce swoje, to nie ręce raboczewo". A gdzie twoja czapka? Tam wisi. Ja rzeczywiście, jak wszedłem zobaczyłem, że tam stoi wieszak więc powiesiłem czapkę. A normalny chłop ~~krzywa~~ to trzyma czapkę w garści. I rzeczywiście odesłał mnie, to znaczy odprwadził do spichrza majątkowego. W tym spichrzu było mniej więcej 20-stu oficerów. To byli młodszy oficerowie - podporucznicy, porucznicy, chyba żadnego kapitana nie było. Myśmy tam przesiadeli jeszcze noc, naszą grupkę zabrali i poprowadzili dalej. Otóż tu jest taka przykrość, że ja nie pamiętam jak się nazywał ten następny łagier, w którym najdłużej byłem. Jego nazwa była bardzo długa.

K.: Czy było to stosunkowo niedaleko od <sup>N</sup>Giazowca?

A.: No, tak z 15 - 20 kilometrów. Ale też, w okolicach Wołogdy i też do tego miasta nie doszliśmy. Jego nazwa była mniej więcej taka Jekatierinosławskij/?/ Łagier Wojennoplennyj. Ja miałem nawet pieczętkę stamtąd. Była to taka bardzo długa i typowo rosyjska nazwa. Był to klasztor, w kształcie koła, otaczały go mury klasztorne, w środku był staw, przy stawie cerkiew. Cerkiew tę oni zapchali żołnierzami/ Było ich parę tysięcy - to było straszne/ naszymi żołnierzami. To był chyba od dawna łagier, inaczej niż Giazowiec-



ki, który był improwizowany, wyraźnie dla nas zrobiony. A tam mogli być wcześniej i prawdopodobnie byli Rosjanie. Nam powiedziano "wy wam nie sowietujemy chodit tam". I rzeczywiście gdy ja tam kiedyś poszedłem to smród był straszny. Prycze były aż do sufitu cerkwi i oni po tych pryczach łazili. Tam strasznie było wejść. Nas natonias umieścili w celach, które były wzdłuż tego muru idącego dookoła całego klasztoru. Przybramie były takie wyższe zabudowania, tam było NKWD i tam był też szpital.

K.: A ilu, mniej więcej oficerów polskich tam było?

A.: Oficerów było stu dwudziestu kilku. Mnie mówił o tym jeden z nich potem. Myśmy byli w niedużych celach. Na pryczach wszyscy, ale dość swobodnie, tak że to nam nie dokuczało. I ja tam byłem prawie do końca pobytu w Rosji, w tym łagrze. Charakterystyczne było to, że myśmy się poznali wszyscy, ale nie za bardzo. Chodzi o to, że trzech oficerów spośród nas, to byli tacy, którzy w czasie I wojny światowej byli w niewoli, chyba w niewoli francuskiej.

K.: Z zaboru pruskiego?

A.: Tak z niemieckiego. Oni byli na froncie francuskim i tam dostali się do niewoli. Oni mieli praktykę więzienną i nauczyli nas kilku rzeczy. Przede wszystkim nie mówić swoich nazwisk, jeden drugiemu. Mówić po imieniu, albo jakkolwiek inaczej, bo prędzej, czy później będzie dochodzenie i jeden na drugiego może zacząć donosić. Żeby tego uniknąć nie trzeba opowiadać o swojej przeszłości, nie mówić nic, tylko o aktualnych zagadnieniach. Myśmy posłuchali, ale to miało tę wadę, że ich twarze ja poznałem, ale nie znałem ich nazwisk. I tak jest do dnia dzisiejszego. Codziennie "pierespi-tanie" było. Po śniadaniu przychodził jeden NKWudzista, potem drugi, trzeci i na przemian walcowali cały marksizm, leninizm. Takie szkolenia odbywały się.

K.: Ale czy "na ruskom jazykie"?

A.: Tak, "na ruskom jazykie".

K.: Ale nie wszyscy Polacy znali przecież język rosyjski?

A.: Nie wszyscy znali, ale oni tym nie przejmowali się. Takim osobliwym wydarzeniem to było to, że my po pewnym czasie zaczęliśmy chorować.

K.: No właśnie, a jakie było jedzenie?

A.: Jedzenie nie było złe. Ale było go przede wszystkim bardzo mało, chleba tam ileś dostawaliśmy - od tego nie można było umrzeć - ale i żyć ciężko. Natomiast <sup>wolta</sup> zupę zawsze dawali, zupa była z rybą, to była ~~topia~~ solona. Zupa była siona i na żołądek to wszystko bardzo źle działało. No więc po pewnym czasie zaczęliśmy chorować na czerwonkę. Otóż jak któryś zachorował to tam był lekarz, on szedł do lekarza, a lekarz go odsyłał do Wołogdy, do szpitala. Pojechał jeden, drugi, po ~~tym~~ trzeci. Myśmy zaczęli się wszyscy znać ze sobą, bo przecież ostatecznie stu ludzi, to nie tak dużo, i wszystko tak szło normalnie, aż pewnego dnia... Aha, myśmy mieli akurat z Wilna prawie kompletny szpital [obsadę szpitala] z Wilczej Łapy.

K.: To był kolejowy?

A.: Nie, na Wilczej Łapie to był wojskowy.

K.: Ale był też kolejowy, moja babcia tam pracowała. Szpital główny, wielki to był kolejowy. Ja tam urodziłem się.

A.: Ale ten to był wojskowy szpital z Wilczej Łapy. To byli chirurdzy. Nazwisko jedno pamiętam, był to Chodorowski. Otóż zdarzyło się, że rosyjski lekarz był zaprzyjaźniony z naszymi lekarzami. Oni tam chodzili do niego i opowiadali potem, że zaopatrzenie w leki, to on ma całkiem dobre, tylko tego nie rusza, ma ewidencję i dba o to żeby nie naruszyć inwentarza, bo potem [w razie kontroli] musiałby się tłumaczyć co z tym się stało. Tak więc

lekarstwa były, on nigdy nie ruszał żadnego z nich, a chorych odsyłał do Wołogdy. Miał on siostrę miłosierdzia, a ta siostra miała synka, około dziesięciu lat. Chłopiec zachorował na wyrostek robaczkowy. Nasi lekarze obejrzeli go - miał wysoką gorączkę i bóle. Operacja była konieczna. Do Wołogdy nie było żadnego środka komunikacyjnego. Tam jedynie żywność i wodę nam dowozili...W tej sytuacji siostra zwróciła się do naszych lekarzy o pomoc, o ~~przez~~ operowanie chłopca na miejscu. Operację przeprowadzono, matka chłopca była bardzo wdzięczna naszym lekarzom, przyszła do nas i zapytała w jaki sposób może się odwdziżyć, co my byśmy chcieli żeby ona zrobiła, kupiła, czy coś innego. A nasi uchwalili tak: kupować to nie ma co, ale niech ona się dowie co z naszymi oficerami się dzieje, tzn. tymi, którzy zostali odesłani do szpitala do Wołogdy.

K.: A ilu oficerów stamtąd wyszło?

A.: Pięciu, sześciu, mniej więcej. Lekarze wiedzieli ile czasu taki chory w szpitalu powinien leżeć. Już powinni wrócić, a nie wracali. Siostra zgodziła się zająć tą sprawą, stwierdziła, że poprzez swoją długoletnią pracę /dziesięć, czy dwadzieścia<sup>(lat)</sup>/ ma znajomości w szpitalach i z łatwością to załatwi. Rzeczywiście, wróciła po kilku dniach, niestety z wiadomością, że była we wszystkich szpitalach w Wołogdzie i nigdzie nie było żadnego polskiego oficera. Tu nas zatkalo.- ja tu mówię coś czego nikt prawdopodobnie nigdy nie powiedział. Wszyscy mówią, że mordy zaczęły się niespodziewanie wiosną 1940 roku, a to o czym mówię teraz, tego ja byłem naocznym świadkiem.

K.: To było jeszcze późną jesienią 1939 roku? -czy tak?

A.: To był listopad.

K.: Ale jeszcze przed Bożym Narodzeniem?

A.: Ja przed Bożym Narodzeniem już wyszedłem, tak, że to [chyba] był listopad. No i wtedy nasi lekarze poszli do tego doktora rosyjskiego. On mówił: "no słuchajcie! Kto to będzie woził aż do

Wołogdy waszych chorych? Oni zatłuką ich, zabiją, i koniec!

K.: [Oto sowiecki] stosunek do człowieka!

A.: Proszę sobie wyobrazić teraz co ze mną się zdarzyło! Akurat w kilkunastu dni po tym zachorowałem na czerwonkę. Poszedłem do lekarzy i mówię - "bójcie się Boga, ale ja jestem chory, załatwcie coś"! Więc oni zwołali zebranie, takie [konsylium wszystkich jeńców] i proszę sobie wyobrazić, że było takich dwóch co uważali, że trzeba mnie wydać, reszta powiedziała "nie", "ukryjemy". Lekarze uchwalili, że mi mam nic nie jeść. Więc ja tydzień głodowałem, po tygodniu mniej więcej, na nogach już utrzymać się nie mogłem. Z tego okresu muszę opowiedzieć wruszającą dla mnie rzecz. Nie mogłem już dowieść się do ubikacji...

K.: To było niebezpieczne, mogli zobaczyć!

A.: Druga rzecz, [to ubocznie] choroba taka wystąpiła. Jak wychodziłem z naszej celi, trzeba było przejść przez ciemną sien. Jak wchodziłem do tej sieni, to mnie włosy stawały dęba, ze strachu! Straszły te ciemności! To była taka choroba.

K.: Organizm był osłabiony, co wpływało na zanik odporności psychicznej.

A.: Otóż ja byłbym chyba nie przeżył przejścia przez tę sien, gdyby nie ~~in~~ pomoc mojego kolegi <sup>(z Krakowa)</sup>, który spał na pryczy pod moją. Jak ja tylko schodziłem z pryczy, to on wstawał, brał mnie pod pachę i prowadził do ustępu. To było w sumie pięć, sześć razy w ciągu nocy. Nigdy go nie prosiłem, nie budziłem - a on nigdy nie puścił mnie samego.

K.: Czy nie pamięta Pan Profesor jak on się nazywał?

A.: Nie wiem jak on się nazywał. Wiem tylko, że był oficerem na dworcu kolejowym [w Krakowie] w chwili wybuchu wojny.

K.: A czy to był rezerwista, czy oficer zawodowy?

A.: Chyba zawodowy, bo jeżeli był na dworcu, to był raczej zawodowy.

To był jakiś święty człowiek, coś nieswykłego - taka ofiarność. Wstać w nocy, iść na śnieg i prowadzić takiego, a on przecież nie miał za dużo sił. Także trudności miałem na apelach. Codziennie był apel, moi koledzy musieli mnie potrzymanywać z boku, ścisnąć po prostu i dzięki temu ja odstałem zawsze. A uleczyła mnie dziwna rzecz. Kiedyś siadłem pod ~~piasz~~ piecem /tam były piece opalane drzewem/. Miałem [wojskowy, skórzany] pas, którym podtrzymywałem spodnie. Ten pas był niezapięty. Kołchoznik, który palił w ~~piasz~~ piecu, zobaczył ten wojskowy pas. Porządny, skórzany, wojskowy, polski pas. On powiedział: "to na padmiotki do dietskich batinek". No i rzeczywiście, ja mówię - dam mu ten pas. Czułem [i powiedziałem] że zjadłbym bułkę. On przyniósł bułkę, a ja dałem mu pas. Pytałem lekarzy co robić, oni powiedzieli: niech pan ssie to, dopóki ślina nie rozpuści tego co można. To co ślina rozpuści to można połknąć. Ja tak robiłem i po kilku dniach postawiło mnie to na nogi, zacząłem się lepiej czuć. I tak się wykurowałem wkrótce. Tymczasem zrobiłem zapas chleba/ bo ja przecież nie jadłem chleba, a chleb stale wydawało no/. Tam też zacząłem palić papierosy - to też wydarzenie niezwykle mianowicie...

K.: Oni dawali wam papierosy, czy machorkę? Samą?

A.: Oni dawali nam "karaszki". To wynalazek rosyjski! Nie z liści tytoniu robione, tylko z łądyg. Oni te karaszki nam dawali. Otóż, ja je rozdawałem, bo nie paliłem. Ale ja miałem trudności z zaśnięciem - wszyscy spali, a ja rzucałem się i wówczas zrobiłem "wynalazek". Mianowicie pracując przy [strażniku], który mnie prowadził, zauważyłem, że on wieczorem skręcał sobie "karaszka" [czyli "skręta"], a ja siedziałem i przyglądałem się jemu i myślałem sobie, gdyby jego ogolić, domyć, to byłby fajny chłopiec; rzeczywiście miał takie regularne rysy. I on tak zapalił raz i drugi, a ja widzę jak twarz mu napuchła, oczy zapadły. Wdrapał się na pryczę, położył się i zaczął chrapać. To było dla mnie olśnienie.

K.: ~~mx~~ To było coś w rodzaju środka odurzającego?

A.: Właśnie. Ja też skręciłem sobie takiego "karaszka", zaciągnąłem się, poczułem zawrót głowy, położyłem się i .... zasnąłem! To była pierwsza noc od wielu dni, kiedy ja rzeczywiście dobrze zasnąłem i już nie było siły ~~mxkx~~ potem żeby mnie powstrzymać od palenia. Itak początkowo tylko paliłem na noc, a potem to już częściej.

K.: Ale teraz Pan Profesor "karaszków" chyba nie używa?

A.: Od wielu lat w ogóle nie palę.

K.: Jak dalej było?

A.: No właśnie. Było to przed Bożym Narodzeniem [1939 r.] niedaleko. a nas ciągle brali [Sowieci] na przesłuchania. Dla każdego była kupa aktów. Często inny NKWudzista badał, niż ten na początku.

K.: U nich jest podstawowa zasada systemu stalinowskiego, w kółko pytać o to samo. W końcu pomyli się człowiek i będzie go za co zła-pać!

A.: Badali tylko w nocy. W dzień były szkolenia, a w nocy badali. I był tam taki młody NKWudzista, badał mnie i badał. Skończył kiedyś i powiada: "wot swołocz, ~~wratakrowriot~~ i wriot...., kak sabaka!" więc ja zaczynam zaprzeczać, że ja absolutnie nie kłamię. I rzeczywiście nie kłamałem, bo nie było po co kłamać. On powiada: "słuchaj, ja ci udowodnię, czego ty ciągle kłamiesz, powiedz prawdę naręszcie. Tutaj was jest stu dudziestu kilku. Ja ich prawie wszystkich przepytąłem. I ja mam olbrzymie trudności, ja ich nie rozumiem - oni mnie nie rozumieją, a ty panimajesz wsie ~~to~~<sup>my</sup>kości jazyka" - jak to jest. Ja nie ~~pirs~~ pierwszy to zauważyłem. Już wielu zwróciło na to uwagę. A ty mówisz, że jesteś taki sam jak oni, że ty chodziłeś do szkoły, że jesteś taki jak wszyscy. A ty nie jesteś taki, coś się za tym kryje". Więc ja powiadam mu, że nikt mnie o to nie pytał! Chodzi o to, że ja urodziłem się w Nowoświęcianach, ale kiedy miałem dwa czy trzy miesiące moi rodzice wyjechali do Petersburga i mieszkali tam aż ja

skonczyłem siedem lub osiem lat i wtedy dopiero wróciliśmy do siebie. Więc dla mnie językiem na codzień był przez osiem lat język rosyjski a nie polski. Ojciec mi lanie zrobił za to, że z siostrą rozmawiałem po rosyjsku w domu. Mówił: na ulicy ty masz prawo po rosyjsku rozmawiać, ale w domu po polsku!

No i ten *nikudzi*sta powiada: "ty popał", bo ty nie wiesz, że ja też jestem z Leningradu. Myślaś siedem lat to musiaś pamiętać adres, gdzie mieszkaliście? Więc ja mu mówię *gdzie*.

Jemu oczy wylazły, jak mu to powiedziałem. On widocznie sam tam musiał mieszkać.

N.: I panowie mogliście spotkać się tam nawet!

A.: Tak. I on był w moim wieku. To było widać, że on ma 25, 26 lat. No i myśury zaczęli wspominać: a jak kamienica wyglądała, a jaki płot był, że to było w kształcie podkowy. Opowiedziałem mu jak puściłem kamień po *barce, A wodniale* poszedł do matki, a mnie chłopcy ukryli. On był zachwycony. Pytał o nazwiska, a ja pamiętałem; Piłtka, Saszka itd., ale nazwisk nie. Jedno nazwisko powiadam pamiętam, mianowicie Sakolik, tam było ich wielu. On był wniebowzięty - był z tego samego podwórka, albo z sąsiedniego. Myśury do rana wspominali. Jak na Nowę można było uciec. Myśury bardzo lubili ucieczki na Nowę. Były tam barki, można było latać z barki na barkę i to była nasza ulubiona rozrywka. Tylko nasz "storoż" który stał w bramie, nas nie puszczał. Tak, że trzeba było dopilnować jak on trochę odejdzie, to wtedy na "pedały" i na Nowę.

Otóż koniec tej naszej rozmowy był taki - on powiedział - słuchaj *Wasze chłoto driań, oczeh driań - nu ja zdiataje wam usio ertc tolko czetowioek, eritaweku mbat zdiatit*

Nikommu nie mówiłem, oczywiście wróciłem. Ja ~~tylko~~ zauważyłem po kilku dniach, że ciągle innych wzywają, a mnie przestali wzywać. I tak działo się do ostatniego dnia. A ostatni dzień to był taki - bajec Antonowicza wzywa, wyprowadził mnie i prowadzi na przesłuchanie. Rozbierać się każą. Rozebrałem się, wybadali, wymacali ubranie całe. Ubierać się z powrotem i za bramę. Za bramę dwa szeregi bajco

z psami po bokach. A ja tylko sam. Mnie odprowadzili jakieś 100 metrów czy więcej i zostawili. I wtedy widac po kolei naszych oficerów zaczęli wyprowadzac i ustawiac. Utworzyła się taka kolumna około 120 osób prawdopodobnie.

K.: Żołnierzy nie ruszali?

A.: Żołnierzy nie. I nas doprowadzili do kolei i tam był tak: pierwszy wagon to był ten gdzie mnie wpuścili i tam potem ~~NKWD~~ enkawudziści byli. To był zwyczajny wagon. Te następne to były przygotowane do transportu więźniów. Drutem kolczastym były okna pozostawiane, wszystkie pozostawiane na krzyż. I wszystkie ostrożności tak jak dla największych przestępców.

Wszystkich załadowali do tych wagonów i pojechaliśmy.

K.: Ile wagonów było?

A.: Nie pamiętam, ale niedużo.

K.: Czy w tych wagonach były prycze?

A.: Tak prycze. Zaczęliśmy jechać i dojechaliśmy najpierw do Moskwy.

K.: Znowu do Moskwy?

A.: Oni tam byli wszyscy pozamykani w wagonach. A w tym wagonie w którym ja jechałem, po jednej stronie były prycze gdzie ja spałem i jeszcze dwóch Polaków, a po przeciwnej "bajcy" z NKWD-e. I w Moskwie oni mi pozwolili wyjść. Mówią, że jakąś godzinę, dwie mamy czasu. Zakupy nawet zrobiłem - bułkę kupiłem.

K.: Pan był w ~~kufajce~~ w kufajce, ale w polskim mundurze.

A.: Tak, w polskim mundurze. Mianowicie w Moskwie był jakiś duży plac, skwer, ale bez ratusza i przez cały plac stała kolejka do sklepiku. Więc ja podszedłem i ~~przeprasiłem~~ przeprosiłem. Wsadziłem głowę, tam można było kupić bułkę, "karaszki" i "spiczki". Mnie interesowała tylko bułka, kupiłem ją i poszedłem z powrotem do



wagonu. Wyruszyliśmy z Moskwy. Dojechaliśmy do Smolenska i postawili nasz skład na skrajnie północnym torze, na stacji towarowej. Wówczas mnie przenieśli do innego wagonu, też towarowego, ale który szedł do Lidy. No więc tam, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że oni pojedą do Kozielska, a ja nie...

K.: A czy oni wiedzieli, że do Kozielska jadą?

A.: Wiedzieli! Skąd, to ja nie wiem? Mnie powiedział ten komandir

K.: Czy ci koledzy oficerowie też wiedzieli?

A.: Wiedzieli. więc jeszcze ja... Czy ja im mówiłem nawet? A myśly rozmawiali przez okna. Powiedziałem, że ja jadę do Wilna - kto z Wilna niech rzuci adresy. Więc oni pisali, imię, nazwisko i adres i rzucali mi karteczki przez okna. Zebrałem chyba ze dwadzieścia sztuk. Potem dojechaliśmy do Lidy. W Lidzie on powiada - "no grasszczaj" i poszedł.

K.: Ci enkawudziści też jechali do Lidy?

A.: Już jeden tylko był!

K.: To był grudzień 1939 r. Lida należała do sowieckiej Białorusi, ale jeszcze granica jakaś była, Litwa była formalnie niepodległa.

A.: Tak granica była. Okazało się, że każdy z nas w inną stronę idzie, ja do Wilna, jeden do Warszawy, a drugi do Krakowa, czy gdzieś. I zacząłem iść piechotą wzdłuż torów kolejowych. Myślałem - Wilno niedaleko. Więc szedłem, aż doszedłem do granicy. I tu jeszcze jedno wydarzenie, takie mało znaczące, ale charakterystyczne, mianowicie spotkał nas mały patrol sowiecki. Zaprowadzili do stodoły. Tłumaczymy im, że jesteśmy zwolnieni z niewoli, oficjalnie.

K.: Ale żadnego papieru nie dali?

A.: Nie, nic. Właśnie to charakterystyczne, żadnej "bumagi" - nie. W nocy nas wyprowadzili "bajcy" ze stodoły. Wyszedł taki oficer, starszy brygadier, siwy. Przyprowadzili mu białą klacz, on wsiadł i nas wyprowadził do granicy i powiada: "tam Litwa"... jego klacz po-

klepaliśmy i, tu charakterystyczne, każdy z nas poszedł w inną stronę. Ja zostałem sam w noc, las, każdy wiał jak najprędzej na zachód. Doszedłem do jakiejś wioski, już świtało. Tylko w jednej chacie było światelko. Więc poszedłem tam gdzie było światelko, żeby ludzi nie budzić. Wchodzę, a tam kobieta z dzieckiem. Mówię jej, że jestem głodny, że przeszedłem granicę, że jestem zmęczony, że chcę się trochę przespać. Ona mi dała chleba. Wtedy położyłem się na ławie i poprosiłem żeby obudziła mnie za jakieś dwie godziny, bo muszę iść dalej. Ona to wszystko zrobiła zyczliwie. Potem wytłumaczyła gdzie iść, mówiła: "może pan iść bezpiecznie, nie łapią". To, że ma pan spodnie wojskowe nie szkodzi". No i rzeczywiście tak szedłem jakąś ścieżką, raptem słyszę dzwonek z tyłu. Patrzą, a to na rowerze Litwin jedzie w mundurze. Policjant litewski - ale on objechał mnie i nic. I tak doszedłem do Wilna. Gdy do Wilna doszedłem to dostałem się do Zakładu Fizyki.

K.: Wiemy, że jeszcze w Wilnie na Uniwersytecie odbywały się zajęcia, w trymestrze od 15 października do 15 grudnia 1939 r. Dopiero potem Litwini ogłosili, że to będzie litewski Uniwersytet.

A.: Więc jeszcze jak ja wróciłem to, charakterystyczne, ja dostałem pensję!

K.: A czy byli profesorowie jeszcze - Szczeniowski i inni?

A.: Byli wszyscy profesorowie.

K.: Jabłońskiego nie było!

A.: Nie, Jabłońskiego nie było, ale był Niewodniczański. Kierował tym wszystkim, i Szczeniowski, wraz z jakąś delegacją jeździł do Kowna na pertraktacje z Litwinami, żeby utrzymać Uniwersytet Wileński - jako polski.

K.: No bo tenże działał jeszcze przez trzy miesiące 1939 r. jako jedyny polski.

A.: Ale jemu tam powiedzieli tak - "niechby został litewski, ale

niechbyśmy tam zostali". Litwini odpowiedzieli - proszę pana Polska liczyła 30 milionów mieszkańców i miała pięć uniwersytetów. To na pięć milionów wypadła jeden uniwersytet, a my mamy dwa miliony mieszkańców i żadnego uniwersytetu.

K.: Tak, tak ale to były argumenty wynajdywane na poczekaniu, bo przecież Uniwersytet Kowieński nie zaprzestał działalności!

A.: Tak, ale taki był ich argument. I myśmy po tym otrzymali ostatnie pensje. Wtedy przyjechali Litwini i zaczęło się przekazywanie Uniwersytetu Litwinom.

K.: A jak to wyglądało na fizyce?

A.: Niewodniczański uważał, że trzeba wszystko czysto, uczciwie przekazać tak jak jest i przekazaliśmy im wszystko i tak skończyło się.

K.: A po tym z czego żyć?

A.: Trzeba było szukać pracy. Ja pojechałem na wieś. Mnie ktoś poradził, że oni poszukują nauczycieli. Mianowicie Litwinom chodziło o to, żeby szkoły obsadzić i uruchomić, zadbać o inwentarz szkół i puścić je w ruch, niezależnie od tego kto to zrobi.

K.: Skąd Pan umiał po litewsku?

A.: Skąd po litewsku? Ja... Ja się zgłosiłem do inspektoratu. I mnie wysłali do szkoły w Wojdatach. Przyjechałem tam...

K.: W Wojdatach, 20 km od Wilna? A czy wie Pan Profesor, że tam obecnie jest polskie technikum rolnicze?

A.: Tak. Właśnie w Wojdatach uczyłem. Uczyliśmy po polsku oczywiście. Bo inaczej jak? Ja uczyłem głównie matematyki, zresztą krótko tam byłem, bo potem woląłem przejść do fabryki słonki zapalniczanej w samych Wojdatach i tam właśnie najdłużej byłem. Tam taką dziwną rolę miałem, mianowicie dyrektorem był Litwin, który nie znał niemieckiego i słabo mówił po polsku, buchalterem był pan Kowalczewski, Polak, który świetnie znał niemiecki, za to absolutnie nie znał litewskiego, a ja byłem tym, który znał litewski, i polski,

i niemiecki, no i rosyjski, ale rosyjski najmniej tam był potrzebny. Ale z niemieckiego, jako tłumacz, to ja często tłumaczyłem, zwłaszcza jak z chłopami jakieś sprawy rozstrzygaliśmy. No i tam, myśmy we trójkę administrowali tym zakładem i to mnie od wojska broniło przede wszystkim.

K.: Jak rozumie, to Pan Profesor był tam również i po zajęciu Wileńszczyzny przez Sowieców, a potem przez Niemców?

A.: Właśnie tam prawie cały czas okupacji niemieckiej byłem.

K.: A czy mieszkał Pan w samym Wilnie, nie tam w Wojdatkach? A czy w czasie wojny z jakimiś strukturami podziemnymi, np. szkolnictwem podziemnym Pan Profesor się stykał?

A.: Nie.

K.: A czy z jakimiś kolegami z Uniwersytetu od czasu do czasu była okazja spotkać się i porozmawiać?

A.: Właściwie nie, bo to było poza miastem, jednak te 20 kilometrów, a ~~były~~ warunki życiowe były trudne, trzeba było o chleb walczyć w kolejkach stać...

K.: A jak przyszedł 1944 rok? Chodzi o to, czy tam w Wojdatkach coś się działo?

A.: Ja już byłem wtedy w Ponarach, bo ja znowu zmieniłem pracę, gdy fabrykę spalili partyzanci. To Rosjanie ~~spalili~~ spalili fabrykę, nie było czego robić, do szkoły też nie chciałem wracać i przeniósłem się. Tam w Ponarach, było tzw. progimnazjum i tam było lepsze mieszkanie więc ja tam przeniósłem się i zamieszkałem.

K.: ~~Tzn.~~ Tzn. tam w tych samych Ponarach, które były za tzw. Górą Ponarską, wzgórzami, gdzie rozstrzeliwano Żydów? Czy tam coś było widać i słyhać?

A.: W Wojdatkach było słyhać, te Wojdatki są mniej więcej o 2 km od Ponar i od tych miejsc gdzie rozstrzeliwano Żydów. Poza tym tam rzeczka taka płynie - Waka. Więc przy tej Wace, trochę bliżej torfowiska był obóz żydowski.

Tam tych z obozu rozstrzelano bardzo późno, przed samym wyzwoleniem. To był jakiś obóz roboczy.

K.: A kto tych Żydów pilnował? Litwini czy Niemcy?

A.: Ja nie wiem. Nie ryzykowałem tam chodzić. Było słychać jak strzelali, przede wszystkim z karabinu maszynowego. Strzelali, a potem dobijali z rewolweru. Na nas z żoną to takie okropne wrażenie zrobiło kiedyś w Wielkanoc. Jesteśmy w kościele w Wojdatach, bo w Ponarach nie było kościoła. Jesteśmy w kościele, tu śpiew "wesół nam dziś dzień nastał", a tam, ta, ta, ta ludzie mordują. Strzelali, to było okropne. Były wypadki, jeden szczególnie był taki wypadek, kiedy Żydzi zorientowali się wcześniej, że będą ich mordować i zaczęli uciekać, rozbiegli się po lasach i właśnie aż do Wojdat przyszli. Do nas przyszła wtedy Żydówka z dzieckiem, moja żona wpadła w panikę, bo dziecko było w tym samym wieku co nasz syn. One objęły się i płakały, karmiły to dziecko, to były straszne rzeczy. Ranni też uciekali, gdzieś tam ranny leżał na ulicy, w polu, bo on wiał stamtąd. Wiadomo tylko, że strzelali Litwini i Białorusini. Jak potem dowiedziałem się, to i Polacy tam, niestety, w tej formacji znajdowali się.

K.: Z tym, że chyba przeważali Litwini, a Niemcy to wszystko zorganizowali.

A.: Oczywiście, to wszystko zorganizowali Niemcy, ale ta formacja głównie była litewska. Litewska, ale tam były również inne narodowości, Ukraińcy też byli. Kiedyś, w gazecie, potem czytałem historię jednego z nich, jak on opowiadał, jak go wciągali do tego. Jak go najprzód na strażnika, a potem do odprowadzania, a potem jednego kazali zastrzelić, a potem, a potem już jemu było wszystko jedno, i strzelał. Po pijanemu właśnie. Przeróżające to to było, żebyły to hieny, że ubranie zdzierali, że handlowali z tymi mordercami, tam dostarczali czegoś, a oni zdzierali rzeczy mordowanych.

się w Ponarach znany był taki wypadek, że kiedyś taki ciężki worek ubrania przynieśli, a w środku było dziecko rozstrzelane. Taki "żart" zrobił sobie. To były okropne historie.

K.: A co Pan robił w 1944 jak zaczęły się walki ~~w Wilnie~~ o Wilno.<sup>2</sup>

A.: Jak walki o Wilno były to ja byłem w Ponarach, ale zaraz po zdobyciu Wilna akurat trafiłem do Wilna. Trupami zasłane było, z dworca tylko wyszedłem a tam, na tym placu przed dworcem, patrzy z trupa zdzierają ubranie, jakaś baba z dziadem. Wie Pan to był Niemiec, ale gruby taki jakiś i rzeczywiście dobre ubranie miał. No, potem przeżyłem ten sławny wybuch pociągu. Ja byłem w Ponarach wtedy. Rąbałem sobie drzewo i akurat podniosłem siekierę, a tu huk jak sto diabłów. Co się stało?, a to pociąg z amunicją wyleciał w powietrze. Ja na dworzec [pobiegłem] odrazu, wszyscy z Ponar byli przerażeni, bo tam większość rodzin pracowała w Wilnie.

K.: Koła od wagonów latały po mieście. To była straszna rzecz. A kiedy Pan Profesor wyjechał z Wilna? którym transportem?

A.: Ja wyjechałem..., nie pamiętam numeru transportu, ale to była wiosna 1945 roku, chyba w marcu.

K.: To bardzo niski numer transportu musiał być!

A.: A niski, ja starałem się jak najprędzej wyjechać, wie Pan, ja wszystko robiłem żeby jak najwcześniej. Zwolniłem się z pracy wcześniej, żeby mnie nie zatrzymali, bo tam trzeba było załatwić formalności, ~~ze~~ ten kto zatrudniał musiał zgodzić się na zwolnienie. W każdym razie, na 1 maja 1945 r. ja już uruchomiłem radiostację nadawczą w Bydgoszczy. Tam już prawie miesiąc pracowałem.

K.: Myśmy chyba wyjechali 16 albo 19 transportem i akurat 8 maja na koniec wojny dojechaliśmy do Łodzi Kaliskiej. Jak zaczęła się strzelanina, wiaty, to tylko patrzyliśmy gdzie tu uciekać, bo myśleliśmy, że jest to bombardowanie.

A.: Nie, to ja znacznie wcześniej.

H.: Czy przez toruński maszt następowała emisja, czy jeszcze nie było tego masztu?

A.: Nie, to był maszt w Bydgoszczy. Tam był cały szereg radiostacji do zagłuszania Londynu. Londyn nadawał tylko na jednej długości fali. Ta radiostacja w Bydgoszczy to była przerobiona polsko-niemiecka zagłuszarka. Sprzętu było dość dużo, bo wie Pan, tych zagłuszarek było w okolicy wiele, w Janikowie, w Gdańsku, w Bydgoszczy. Nie miałem trudności ze sprzętem. Warto powiedzieć, jak ja trafiłem do tego radia. Kiedy jeszcze byłem w Wilnie asystentem miałem takiego studenta, który był inżynierem, inżynierem elektrykiem. On był kierownikiem radiostacji wileńskiej, ale studiował też fizykę, chciał mieć magisterium jeszcze z fizyki. Zaprzyjaźniliśmy się, ja tam bywałem parę razy na radiostacji, mnie interesowało jako fizyka, jak to działa, on mi pokazał różne ciekawostki. Do Bydgoszczy gdy przyjechałem, w parę dni potem, spotkałem go na ulicy, p. Wąsiaka. On powiada: świetnie, że pan tu jest, właśnie poszukujemy fachowca. Chodźmy razem. I zaprowadził mnie, ni mniej ni więcej tylko do UB.

K.: Wesołe miejsce!

A.: No właśnie. Szefem Urzędu Bezpieczeństwa był tam kapitan Zajączkowski. Wąsiak mówi: to jest właśnie człowiek, który potrafi radiostację uruchomić. Pan wie najlepiej, że fizyk, to jest fizyk, to nie jest inżynier elektronik. Pojęcia nie miałem jak to się robi, zasady ogólne znałem. Zajączkowski powiada: proszę pana, proszę jechać na Wzgórza Dąbrowskiego, bo tam już był zgromadzony sprzęt, i budować radiostację, do 1-go maja musiały ją uruchomić. Niech się pan nie martwi o to, co pan będzie jadł i co pan będzie pił. I mnie tam zawiezli i przystąpiłem do pracy. I rzeczywiście bardzo dobrze ~~to~~ układały się nasze stosunki. I właśnie z tego Janikowa i innych miejscowości, jak mnie czegoś brakowało to

ja tylko do szefa telefonowałem, a on ~~raz~~ od razu wysyłał swoich z automtami po części. Miał cięgarówkę, oni jedździłi i oni rządzi- li. Właściwie władzy w Bydgoszczy jeszcze nie było żadnej. W ogóle jak tam był jakiś administrator mianowany, gdy przyjechał, to on nie miał organów wykonawczych, a ten miał kilkadziesiąciu uzbrojo- nych.

K.: Pan Profesor poradził sobie jednak z tą radiostacją?

A.: Wie Pan, tam było przygotowane dość dużo materiałów, między innymi była zebrana bardzo obszerna literatura i to właśnie ta, która dotyczyła spraw radiowych. Prawdopodobnie to było zebrane przy zagłuszarce, po niemiecku, dla Niemców. Ale jak ja to zacząłem czy- tać, to ja szybko zorientowałem się co robić. To nie jest to samo co zrobić bez instruktora. A ostatecznie to trzeba było przerebobić tyl- ko; to jest co innego niż zrobić na nowo, więc np. nasilanie, to niczego zmieniać nie trzeba, a tam chodziło tylko o częstotliwość. Więc to jest zupełnie co innego. Na falach średnich nadawaliśmy 986 mhz.

K.: Pan Profesor pracował tam do 1948 roku?

A.: Do 1949 r.

K.: A tu przy odbudowie torunskiej radiostacji?

A.: Tak i potem przyszedłem tutaj kiedy już koleczyły się prace. Strojenie - to ja już byłem tutaj. Był nowy maszt. Ten nie unikał się widocznie do odbudowy. Ja tamtego nie widziałem w ogóle.

[A wracając jeszcze do czasów wojny]. Ja jakiś czas jak wróciłem do Wilna to czułem się tak trochę jak wisielec, który zerwał się [ze stryczka].

K.: Bo tak i było. Na wiosnę 1943 r., to ja sam już jako dziecko pamiętam gdy w Wilnie afisze ze zdjęciami trupów wywieszono, w tych ~~odkrytych~~ odkrytych grobach katyńskich.

A.: Cóż raz było wiadomo, że to koledzy tam leżą. I wie Pan, jeszcze jeden przypadek, koło katedry były wywieszono afisze.



[ankieta])  
Możo ("Stralla", tego czerwonego, to tam był taki duży oficer i jeden z fotografii, to była doktora Shodorowskiego, który w obornie operację robił.

K.: To Pan Profesor może jest najlepszym świadkiem, że nie ma wątpliwości kto zrobił Katyń, bo Pan rozstał się z nimi, gdy byli w wagonach zadrutowanych, w grudniu 1939 roku, a potem widział zdjęcie jednego z nich, tego samego doktora, w 1943 r. na afiszu!

A.: Jeszcze jedno uzupełnienie, jak wróciłem do Wilna w 1939 r. to miałem dużo adresów, właściwie tych, które pobierałem wyrzucając z okien wagonów. No więc ja chodziłem po chatach i rozmawiałem z ich rodzinami. Dla wielu była to pierwsza wiadomość, że żyją. Oni strasznie przeżywali to, ja im podawałem swój adres na Zakład Fizyki, więc oni potem do Zakładu, do mnie przychodzili. Wzruszające było to, że np. z żoną rozmawiałem, żona opowiedziała potem matce, ale jej to nie wystarczyło, musiała wprost przyjść do mnie i dowiedzieć się szczegółów, a jak on wygląda, jak się czesze, a czy go gardło nie boli, bo on zawsze chorował? itd. Jeszcze Uniwersytet był czynny, przychodzili do mnie codziennie, koledzy nieraz mi mówili - już interesantka jest jakaś. Potem przestali przychodzić. Zaczęły listy przychodzić z Kozielska. No więc oni zaprzestali. Jeszcze z listami czasem przychodzili. Przychodzili z listami, bo mianowicie interesowała ich taka rzecz: dlaczego takie lakoniczne są te listy? A ja wiedziałem dlaczego, bo to jako wzór listu nam podawali: "żyw, zdrow, Iwan Pietrow". Taki list dojdzie na pewno, a jeżeli dopiszesz coś więcej, to nie dojdzie. No więc oni trzymali się widać rzeczywiście tej zasady i bardzo króciutko pisali. Potem to się rozwiało, ale początkowo ich interesowało, jak to? Syn pisze do matki i tak króciutko? To aż do wiosny się ciągnęło 1940 roku. Na wiosnę [1940 r.] raptem znowu do mnie zaczęli przychodzić ludzie. Pytali, czemu listy nie przychodzą? No ja nie wiem,

ale jak to mogłem nie wiedzieć, mówili, że do innego obozu może ich przewozić, czy coś, trudno powiedzieć.

K.: W każdym razie potwierdza Pan to co wszyscy podają, że na wiosnę 1940 r. przestały przychodzić listy z obozów.

Panie Profesorze serdecznie dziękuję za rozmowę.

Przepisano z taśmy magnetofonowej w archiwum UMK. Bardzo niska jakość nagrania. /grudzień 1989 - styczeń 1990/.

Oryginał i kserokopis znajdują się w Archiwum UMK.

Stanisław Valerian

7.11.1990

K. Stankiewicz